

The background is a painterly illustration of a man and a woman standing on a cobblestone street in a European-style town. The man, with dark hair and a beard, wears a black button-down shirt. The woman has pink hair in a bun and wears a floral dress. A small tan dog stands on the left, and a large black dog lies on the right. A street lamp is on the far left. The title is in a pink decorative frame in the center.

Szepty
PRZEZNACZENIA

Szepty #1 • Część 1

CARA D. WYLER

Rebelde ♡
WYDAWNICTWO

Copyright© Cara D. Wyler
Copyright© by Wydawnictwo Rebelde
All right reserved
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
LESZNO 2026

Redakcja i korekta językowa:
Justyna Szymkiewicz @daj.mi.slowo

Korekta po składzie:
Jolanta Szalak, Kamila Polańska, Ewa Woźniak

Opracowanie okładki i oprawa graficzna:
Justyna Knapik @hermetycznie_zamkniete

Grafika na okładce:
Kamil Korzeniowski @korzeniowski.art

Skład i przygotowanie ebooków:
Michał Bogdański

Wydanie I

ISBN: 978-83-68587-26-5


WYDAWNICTWO

A black and white illustration of a man and a woman standing on a street. The woman is in the foreground, wearing a floral dress, with her arms crossed. The man stands behind her, wearing a dark shirt. To the left is a street lamp, and to the right are buildings. In the foreground, two dogs are sitting: a small long-haired dog on the left and a large dark dog on the right.

Szepty
PRZEZNACZENIA

Szepty #1 • Część 1

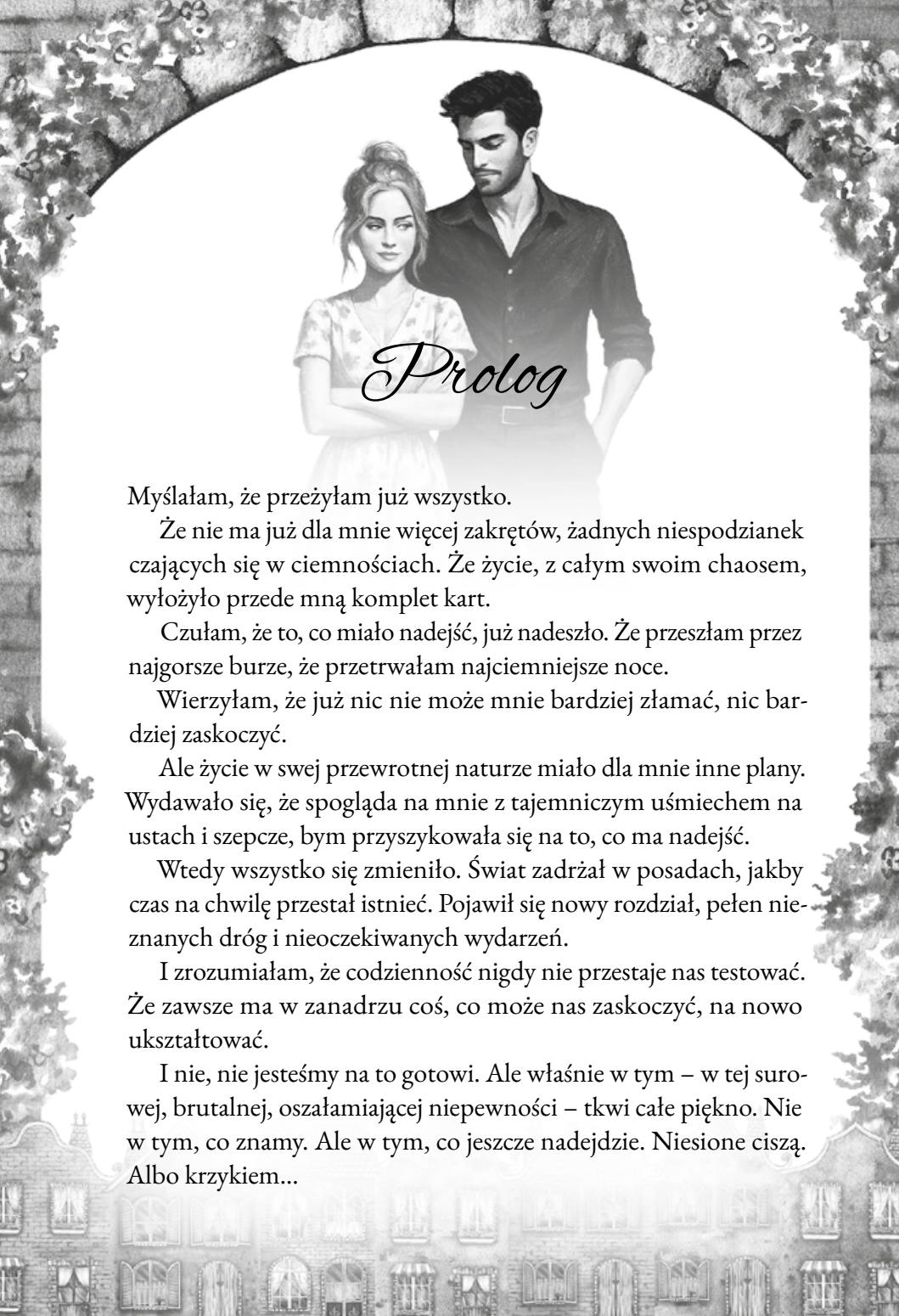
CARA D. WYLER

Rebelde ♥
WYDAWNICTWO



*I don't care who you are
Where you're from
What you did
As long as you love me
Who you are
Where you're from
Don't care what you did
As long as you love me*

Backstreet Boys – *As Long as You Love Me*



Prolog

Myślałam, że przeżyłam już wszystko.

Że nie ma już dla mnie więcej zakrętów, żadnych niespodzianek czających się w ciemnościach. Że życie, z całym swoim chaosem, wyłożyło przede mną komplet kart.

Czułam, że to, co miało nadejść, już nadeszło. Że przeszłam przez najgorsze burze, że przetrwałam najciemniejsze noce.

Wierzyłam, że już nic nie może mnie bardziej złamać, nic bardziej zaskoczyć.

Ale życie w swej przewrotnej naturze miało dla mnie inne plany. Wydawało się, że spogląda na mnie z tajemniczym uśmiechem na ustach i szepcze, bym przyszykowała się na to, co ma nadejść.

Wtedy wszystko się zmieniło. Świat zadrżał w posadach, jakby czas na chwilę przestał istnieć. Pojawił się nowy rozdział, pełen nieznanych dróg i nieoczekiwanych wydarzeń.

I zrozumiałam, że codzienność nigdy nie przestaje nas testować. Że zawsze ma w zanadru coś, co może nas zaskoczyć, na nowo ukształtować.

I nie, nie jesteśmy na to gotowi. Ale właśnie w tym – w tej surowej, brutalnej, oszałamiającej niepewności – tkwi całe piękno. Nie w tym, co znamy. Ale w tym, co jeszcze nadejdzie. Niesione ciszą. Albo krzykiem...



Rozdział 1

Cornelia

Nie mogę się poruszyć. Czuję, jak słona woda zalewa mi twarz, a ja jestem zbyt bezsilna, by cokolwiek z tym zrobić. Nie jestem w stanie otworzyć oczu, jakby były sklezione ciężarem tego niespodziewanego ataku. Niemożliwe jest przekręcenie głowy, jestem przygwożdżona do ziemi, a każdy ruch wydaje się zablokowany.

Całe moje ciało piecze, jakby tysiące igieł wbijało się jednocześnie w każdy centymetr skóry. Promienie słońca bezlitośnie padają na mnie, ich ciepło miesza się z bólem, który przeszywa na wskroś. Płuca palą, jakby były w ogniu, a ja desperacko próbuję wziąć oddech, czując, jak powietrze ucieka z mojego zasięgu.

Nie wiem, gdzie jestem. Każda myśl jest mglista, otoczona chmurą dezorientacji i paniki. Nie mam pojęcia, kim jestem. Wspomnienia są jak kawałki rozbitego lustra, których nie mogę poskładać w całość. Mam wrażenie, jakbym dryfowała w niekończącej się przestrzeni, pozbawiona punktu zaczepienia.

Desperacja wypełnia moje serce, bijąc w nim jak bęben wojenny, przypominając mi o kruchości życia. Każdy oddech, który usiłuję złapać, ucieka przede mną, jakby świat wokół mnie celowo odmawiał

mi tej prostej ulgi. Ciało jest obce, zawieszone w stanie wiecznego cierpienia.

Czas przestaje istnieć. Sekundy, minuty, godziny – wszystko to zlewa się w bezdenną chwilę bólu i bezradności. Czuję, jakby świat wokół zapomniał o moim istnieniu, zostawiając samej sobie, zagubionej w otchłani niemocy. I w tej ciszy przerywanej tylko moim niemym krzykiem nadchodzi ciemność.

Z doświadczenia wiem, że gdy budzę się z tym koszmarem, najlepiej nie ruszać się z łóżka. Zostać, poczekać, aż oddech się wyrówna, a serce przestanie walić jak oszalałe. Taki sen zawsze zwiastuje coś złego. Ale ten dzień jest inny. Przygotowanie do niego za wiele mnie kosztowało, bym teraz mogła ulec temu paraliżującemu wspomnieniu. Zbyt dużo wysiłku, zbyt wiele planów utkanych z intrygi, precyzyjnego przygotowania i – nie ukrywajmy – manipulacji. Przeciwnik taki jak Keanu nie jest łatwy do przechytrzenia, ale nie zamierzam się poddać. Dla kogoś z boku może wydawać się to niczym, głupią ambicją, ale dla mnie to ważne. To mój mały sukces, o który walczę.

Mam dwadzieścia trzy lata i po raz pierwszy w życiu pojedę sama do Nowego Jorku. Samochodem. Z naszego Harborbrook to jakieś siedemdziesiąt mil. Mieszkamy tu od czterech lat, ale zawsze byłam *passenger princess*, jak żartował Keanu – on prowadził, a ja siedziałam obok z muzyką w słuchawkach, patrząc na mijane krajobrazy. Moje możliwości kierowania ograniczały się do jazdy po naszym małym miasteczku. Wszystko, co wykraczało poza jego granice, było dla mnie strefą zakazaną. Ale nie tego dnia. Chcę to zrobić. Muszę to zrobić – chcę udowodnić sobie, że jestem w stanie, że potrafię.

Raz w miesiącu jeżdżę na kontrolę do szpitala. Taka rutyna. Sprawdzają mój stan zdrowia, monitorują funkcjonowanie mojej jedynej nerki. Jedynej, bo drugą straciłam w wypadku, który zmienił wszystko. Zginęli w nim moi rodzice i brat. Ja wyszłam z niego żywa, choć z bliznami. Nie tylko na ciele, ale także na duszy. Czasami czuję,

że to niesprawiedliwe. Dlaczego ja przeżyłam, a oni nie? Dlaczego straciłam tylko nerkę, a oni wszystko?

Życie jest okrutnie niesprawiedliwe. Zawsze było.

Nie daję jednak po sobie poznać, jak wiele mnie to kosztuje, bo Keanu jest jak rekin. Wyczuje krew i koniec...

Podnoszę się z łóżka z wysiłkiem, jakby trud nocy wciąż przyniatał moje ciało i myśli. Próbuję wykrzesać z siebie choć odrobinę energii, by ruszyć w stronę ekspresu. Bez porannej kawy dzień wydaje się jeszcze bardziej odległy i szary. W końcu nalewam kubek gorącego napoju, który zaczyna powoli budzić moje zmysły, gdy biorę łyk. To pierwszy krok w moim codziennym rytuale – chwili, która pozwala mi odnaleźć równowagę. Z kubkiem w ręce kieruję się do ogrodu, mojego miejsca wytchnienia.

Jeszcze kilka lat temu wybuchnęłabym śmiechem, gdyby ktoś powiedział, że zakładanie rabat, pielęgnacja kwiatów i hodowanie warzyw staną się dla mnie czymś więcej niż tylko hobby. Dziś ogród to moje schronienie, mój mały świat. Każdy spędzony w nim poranek jest czasem na złapanie oddechu, zebranie myśli i przygotowanie się na to, co przyniesie dzień.

Wychodzę boso na zroszoną trawę, czując pod stopami chłód i wilgoć poranka. To uczucie jest niezwykle kojące, jakby ziemia chciała przekazać mi swój spokój i siłę. Chłodne powietrze otula moją skórę, a pierwsze promienie słońca nieśmiało zaczynają ogrzewać glebę. W tym momencie świat wydaje się zatrzymany, jakby cały jego bieg czekał na mnie. Czuję, jak stres i napięcie, które towarzyszyły mi po pobudce z koszmaru, powoli rozpuszczają się w tej cichej harmonii natury.

Spaceruję po ogrodzie, podglądając każdą grządkę. Przesuwam dłonią po liściach, delikatnie obrywam suche kwiaty, których czas już minął. Planuję prace na kolejne dni, myśląc o tym, co jeszcze mogę zrobić, by mój azyl rozkwitł pełnią życia. Każda roślina ma tu swoją historię.

Z zamyślenia wyrrywają mnie odgłosy psich łap uderzających o ziemię. Flea, czyli pchelka, dog niemiecki należący do Keanu, i Rambo, mój maleńki grzywacz chiński, tworzą kontrast. Zestaw trochę groteskowy, przyznaję, ale te stworzenia świata poza sobą nie widzą. Flea dzięki swoim długim nogom z gracją przeskakuje z jednej strony rabat na drugą, jakby chciała zaprezentować taniec baletowy w ogrodowej scenerii. Tymczasem Rambo z niekończącym się zapalem kopie w ziemi, jakby szukał skarbu, który tylko on jest w stanie odkryć.

Nagle koło moich nóg lądują buty, a na ramiona narzucona zostaje bluza.

– Wiesz, że nie powinnaś chodzić boso. Przeziębisz się – mówi Keanu.

Jego ton jest jak ciepły koc w chłodny poranek – uspokajający, znajomy, pełen cichej troski. Opieka nad innymi zawsze wychodziła mu naturalnie, niemal niezauważalnie.

– Chodźmy na śniadanie. Niedługo musisz się zbierać – dodaje, poprawiając mi bluzę.

Poddaję się tej chwili, podążając za nim do domu. Idziemy obok siebie, a dźwięk jego równych kroków miesza się z odgłosami psich łap. Truchtają wesoło za nami, jakby każde z nich w równym stopniu kontrolowało ten mały kawałek świata.

– Idź pod prysznic, ja zajmę się śniadaniem – instruuje Keanu, gdy wchodzimy do domu. Spokojny i rzeczowy głos jest jak obietnica, że wszystko mamy pod kontrolą.

Jest niezastąpiony. Jest moim najlepszym przyjacielem, opiekunem i rodziną. W rzeczywistości jest wszystkim, co mam. Nie został już nikt oprócz niego i naszych psów. To on zawsze był obok, szczególnie wtedy, gdy nasze życie rozpadło się na kawałki. Kiedy przeżywaliśmy najgorszą tragedię, trzymał mnie za rękę i nie pozwalał się poddać. To właśnie on pomógł mi wydostać się z ruin – nie tylko tych fizycznych, ale przede wszystkim emocjonalnych.

Keanu zorganizował nasze nowe życie, gdy po kolejnym koszmarze spadłam w panice ze schodów rodzinnego domu. W tamtej chwili podjął decyzję, by zacząć jeszcze raz, z dala od bólu i wspomnień, które przytłaczały nas na każdym kroku. Wybrał miejsce nieprzypadkowe – daleko od wszystkiego, co przypominało nam o przeszłości, ale w „trójkącie bermudzkim”, jak lubi to nazywać. Nowy Jork, Filadelfia, Waszyngton. Chociaż nie jest już czynnym żołnierzem, jego praca nadal związana jest z wojskiem. Przyjaciel z armii zaoferował mu dom na swojej farmie. Keanu zajął się całością – od załatwienia formalności, przez remonty, aż po urządzenie wnętrza. Każdy szczegół zaplanował tak, abyśmy czuli się tutaj bezpiecznie i komfortowo.

Złamani, ale razem – w ten sposób stworzyliśmy coś na nowo. Niesiemy swoje blizny i traumy, ale wspólnie jesteśmy silniejsi. Jesteśmy jak dwie wydry trzymające się za łapki i dryfujące po rzece, by wspierać się nawzajem i nie utonąć. Keanu jest tą osobą, która przypomina mi, że nie muszę wszystkiego robić sama i być silna przez cały czas. Jest moją opoką – kimś, kto podtrzymuje mnie, kiedy zaczynam się chwiać.

Pamiętam pewien wieczór kilka miesięcy po przeprowadzce. Siedzieliśmy na werandzie, patrząc na zachód słońca. Wokół panowała cisza przerywana jedynie szumem wiatru w koronach drzew i delikatnym śpiewem ptaków. Objął mnie ramieniem i powiedział: „Cokolwiek się stanie, zawsze będziemy mieć siebie”. Te słowa, tak proste, a jednocześnie pełne znaczenia, stały się naszym mottem. Wtedy zrozumiałam, że razem możemy przetrwać wszystko.

To on na nowo nauczył mnie, jak żyć. Jak odnajdywać radość w codziennych chwilach – w porannych spacerach z psami, w pracy w ogrodzie, w prostych domowych czynnościach. Jego cierpliwość i oddanie pozwoliły mi odzyskać siły i zobaczyć świat w jaśniejszych barwach.

Keanu też miewa swoje chwile słabości. Są dni, kiedy ciężar straty przygniata go, odbierając siły. W takich momentach robię dla niego to, co on robił dla mnie przez całe życie – jestem. Pozwalam mu oprzeć się na mnie, a wtedy to ja walczę za nas oboje. Wiem, że moja moc pochodzi z tego, co nas łączy – z miłości, zaufania i tego niewidzialnego węzła, który sprawia, że razem jesteśmy niezniszczalni.

Z przymyśleń wyrывa mnie wołanie z kuchni. Szybko się wycieram, suszę włosy i wkładam przygotowaną wcześniej rozkloszowaną sukienkę. Z pełnego makijażu zrezygnowałam już dawno, jeszcze w „tamtym” życiu. Cenię naturalność i prostotę, które dają mi poczucie wolności. Maluję tylko rzęsy.

– Źle mi z tym, że jedziesz sama. Powinniśmy przełożyć wizytę z psami u Ruby. – Patrzy mi prosto w oczy, nie kryjąc swojego niepokoju.

Spokojnie, spokojnie, bo zaraz wszystko się posypie. I pojedziesz co najwyżej rowerem. Do najbliższego sklepu.

– Nie. Doskonale wiesz, że Ruby wyjeżdża na długi urlop, a gabinet będzie chwilowo zamknięty – mówię, siląc się na spokojny ton, choć w środku czuję, że moja cierpliwość jest wystawiana na próbę. – Nie powierzę naszych psów żadnemu innemu weterynarzowi. Ona zna je najlepiej, rozumie ich potrzeby i wie, jak się z nimi obchodzić. Nic mi nie będzie, sam uczyłeś mnie jeździć, więc nie rozumiem, o co tyle hałasu. Poza tym Melanie prosiła cię o pomoc. A wiesz, że od kiedy Theo wyjechał na misję, rzadko o cokolwiek prosi. To poważna sprawa – dodaję z teatralnym westchnieniem, a widząc jego uniesioną brew, dorzucam z lekkim uśmiechem: – Makao i po makale.

Przyznaję, w tym planie jest sporo manipulacji. Ale czy mogę być za to w pełni winna?

Czy wykorzystałam fakt, że traktujemy psy jak nasze dzieci? Może odrobinę. Ale kto by się temu dziwił?

Czy umówiłam wizytę na ostatnią chwilę, wiedząc doskonale, że Ruby kolejnego dnia wyjeżdża, a naszym pupilom kończą się szczepienia? Nie wiem, o czym mówicie. Nie mam pojęcia. Przypadek, ot co.

Czy zaangażowałam moją ciężarną przyjaciółkę w cały ten misterny plan, posługując się jej obecnym stanem jako dodatkowym argumentem? Cóż... Winna wszystkich zarzutów.

Ale w końcu czego się nie robi, by dopiąć swego? Psy muszą być pod najlepszą opieką, Ruby jest jedyną osobą, której w tym zakresie ufam, a Melanie... cóż, Melanie i tak się nudziła, odkąd Theo wyjechał. Poza tym odrobina akcji dobrze jej zrobi. Tak to sobie przynajmniej tłumaczę, ignorując cichy wyrzut sumienia, który podpowiada mi, że wszystko to było dokładnie zaplanowane. W końcu każdy plan wymaga odrobiny poświęceń, prawda? Nawet tych niewielkich... i cudzych.

Po śniadaniu pożegnałam się z psami i Keanu, wsiadłam do samochodu i ruszyłam w kierunku miasta. Silnik mruczał cicho, a ja obserwowałam, jak znajome krajobrazy naszego Harborbrook powoli zostają w tyle. Z każdym przejechanym kilometrem czułam mieszanek ekscytacji i lekkiego niepokoju. Ekscytacja pochodziła z myśli o tym, że robię to sama, że przełamuję kolejną barierę. Niepokój z kolei budziły wyrzuty sumienia. Wiedziałam, jak bardzo Keanu potrzebował mieć kontrolę nad moim bezpieczeństwem – szczególnie po tym, jak bezpowrotnie stracił Alexa. Bałam się, że jego lęk przed utratą obejmuje nie tylko wspomnienia o przeszłości, ale także mnie.

Alex i Keanu.

Zawsze nierozłączni.

Przedszkole, szkoła podstawowa, liceum, college, wojsko – byli jak dwie strony tej samej monety, dopełniając się w każdym aspekcie. A ja? Byłam ich cieniem, dziesięć lat młodszą smarkulą, zawsze

przyklejoną do nich jak rzep. Śledziłam ich każdy krok, zapatrzona w silną więź i poczucie wspólnoty.

Uśmiechnęłam się na te wspomnienia, widząc przed oczami Alexa – zawsze bardziej wyluzowanego, z tym wiecznym błyskiem w oku, i Keanu – spokojnego, niezwykle opiekuńczego, który dbał o nas oboje. Byli dla mnie ideałem, wzorem, za którym starałam się podążać.

Nigdy nie sądziłam, że takie życie zostanie nam odebrane. Wypadek spowodował, że to wszystko się rozpadło.

A romantic illustration of a man and a woman in a semi-circular frame with a floral border. The man is standing behind the woman, looking down at her. The woman is looking forward with a slight smile. The title 'Rozdział 2' is written in a large, elegant script across the middle of the illustration.

Rozdział 2

Cornelia

Wizyta w szpitalu, ku mojemu zaskoczeniu, przebiegła wyjątkowo sprawnie. Żadnych długich kolejek, które zwykle rozwlekają dzień do granic możliwości, żadnego nerwowego czekania czy nawet – co dla mnie samej brzmi niemal niewiarygodnie – omdleń przy pobieraniu krwi. Moja dzielna nerka wciąż jest na swoim miejscu, funkcjonuje jak należy i najwyraźniej nie planuje mnie zawieść. To jest jedna z tych rzadkich chwil, kiedy wszystko idzie zgodnie z planem.

Oczywiście nawet taki spokojny dzień nie mógł obyć się bez stałej kontroli. Mój niezawodny nadzorca zdążył wykonać dwa telefony, upewniając się, że nie zemdlalam w drodze do gabinetu i że wciąż żyję po wyjściu z badania. Jakby tego było mało, telefon co chwilę wibrował od SMS-ów, na które musiałam natychmiast odpisać, żeby nie zaczęło się kolejne obdzwanianie. Przyznam, spodziewałam się, że będę musiała dzwonić na FaceTime co piętnaście minut, niczym dziecko na wycieczce szkolnej.

Przypomnę tylko, że mam dwadzieścia trzy lata. W teorii dorosłość oznacza pewną niezależność, ale najwyraźniej Keanu nie otrzymał tej informacji. Nie żebym się złościła – w głębi duszy wiem, że

jego troska to sposób na oswojenie strachu. Strachu przed tym, że coś mogłoby się stać, że mógłby mnie stracić. Rozumiem to, naprawdę, ale czasami marzę o chwili, w której nie musiałabym odpowiadać na każde „Gdzie jesteś?” czy „Wszystko w porządku?”. Pragnę odrobiny przestrzeni. I z całą pewnością nigdy mu tego nie powiem.

Jak na skrzydłach wybiegam ze szpitala, czując, jak z każdym krokiem opuszcza mnie napięcie. Powietrze na zewnątrz jest orzeźwiający, a słońce przyjemnie grzeje twarz. Idę w kierunku auta, jednocześnie grzebiąc w plecaku w poszukiwaniu kluczy i telefonu. Nigdy niczego nie znajduję za pierwszym razem, więc zasłużył sobie na miano czarnej dziury, w której rzeczy znikają bez śladu. Przetrząsam go nerwowo, przekładając książki, notesy i kosmetyczkę, która zawsze wydaje się być w niewłaściwym miejscu.

Kiedy z piekielnych czeluści wydobywam zgubę, widzę, że dzwoni Keanu. Odbieram, nie dając mu możliwości powiedzenia słowa.

– Już wyszłam, wszystko w porządku, nic się nie dzieje. Zaraz wsiadam do auta i wracam do domu. Może pójdziemy wieczorem z psami...

Nie kończę, czując dotkliwy ból, który eksplodował w mojej głowie jak grom z jasnego nieba. Świat wokół zaczyna się rozmywać, dźwięki stają się stłumione, a kolory bledną. Moje nogi odmawiają posłuszeństwa, a telefon wypada mi z ręki i odbija się od asfaltu. Próbuje złapać się czegoś, co mogłoby mnie podtrzymać, ale ciało opada, jakby było zrobione z ołowiu.

Ostatnią rzeczą, jaką słyszę, jest stłumiony głos Keanu. Czuję, jak ciemność mnie pochłania, a ból staje się coraz bardziej odległy, aż w końcu znika. Świat wokół mnie zmienia się w pustą, czarną przestrzeń, w której nie istnieje nic poza ciszą.

Elijah

– Elijah, masz prawie trzydzieści lat, więc zachowuj się, jak przystało na twoje lata! – grzmi ojciec, machając mi przed nosem tabletem z dzisiejszym artykułem. Nawet w szpitalu nie odpuszcza sobie rugania mnie za wszystko.

Puszczając mimo uszu utyskiwania, przyglądam się ojcu. Niedawno skończył pięćdziesiąt lat, ale zdecydowanie na tyle nie wygląda. Można wziąć go za naszego starszego brata. Jest wysokim, szczupłym mężczyzną o atletycznej sylwetce, którą zawdzięcza codziennym treningom na siłowni i zdrowemu stylowi życia. Dbą o siebie z niezwykle starannością – regularnie odwiedza fryzjera, kosmetyczkę i dietetyka. Jego skóra jest gładka i zadbana, a oczy pełne energii oraz determinacji. Na jego głowie nie uświadczysz jednego siwego włosa, co jest efektem zarówno genetyki, jak i regularnego farbowania. Wygląda bardziej jak gwiazda filmowa niż człowiek, który prowadzi wielki biznes.

Ale tylko z zewnątrz.

Wewnątrz jego ciało toczy bitwę. Serce nie wytrzymuje tempa jego życia i tabunów kochanek. Stres związany z prowadzeniem firmy, nieustanne podróże służbowe oraz zarwane noce spędzone na spotkaniach biznesowych i wieczorach towarzyskich odbiły się na jego zdrowiu. Mimo że na zewnątrz stara się być ucieleśnieniem siły i sukcesu, jego serce ma swoją granicę wytrzymałości.

Pamiętam, jak kilka miesięcy temu trafił do szpitala po kolejnym takim epizodzie. Lekarze ostrzegali go, że jeśli nie zwolni tempa, kolejne ostrzeżenie może być ostatnim. Jednak on jak zawsze machnął na to ręką, a potem wrócił do swojego intensywnego trybu życia. Jego niezłomna wola i ambicja stanowiły zarówno jego siłę, jak i przekleństwo.

– Po pierwsze, nie denerwuj się. Jesteś dobie po wszczepieniu rozrusznika... – zaczynam spokojnie.

– To przestań mi dawać powody! – przerywa mi agresywnie, a okulary chyboczą mu się na nosie.

– Tato...

– Elijah ma rację, nie denerwuj się, to tylko plotkarska gazeta. – Mój brat próbuje załagodzić sytuację.

– Plotkarska gazeta, która po raz kolejny publikuje ekscesy twojego brata. – Ojciec ponownie przenosi na mnie wzrok. – Czy ty musisz wystawiać swoje życie na widok publiczny? Myślisz, że matka chce to oglądać? Nasza rodzina nie potrzebuje rozgłosu. Twój brat też się bawił, a nie było o nim nawet jednej wzmianki w brukowcach!

Nie mogę sobie darować uszczypliwego komentarza:

– Nie udawaj, że matka cię obchodzi. Wszyscy doskonale wiemy, jaka jest prawda. A Louis już w kołysce miał ułożone życie, sam o to zadbałeś. Pozycja, żona, obowiązki. Trzymałeś go na smyczy od urodzenia.

Ojciec czerwienieje z emocji.

– Ciebie też powinienem! – grzmi. – Może byś w końcu spo-
ważniał. Ja w waszym wieku odprowadzałem już dzieci do szkoły! Aż dziw, że żadna kobieta nie zapukała jeszcze do naszych drzwi po alimenty!

Nie przypominam sobie, żeby choć raz zawiózł nas do szkoły – ale pomijam tę część jego wypowiedzi. Jeśli uważa, że w milczeniu zniosę kolejne utyskiwania – jest w błędzie!

– I nie zapuka. – Wzdrygam się na samą myśl. – To jedyna rzecz, której dobrze mnie nauczyłeś. Czy ja źle wykonuję swoje obowiązki? Jesteś ze mnie niezadowolony? Może nasi ludzie narzekają? Za mało pieniędzy zarabiam dla rodziny? Robię wszystko, czego oczekujecie, a czego sami nie możecie robić. Jestem na każde wasze zawołanie. A nigdy nie traktujesz mnie na równi z Louisem ani nawet jak syna.

Powoli zbierająca się we mnie gorycz znajduje swoje chwilowe ujście.

– Elijah...

– Nie przerywaj mi, Louis – warczę. – Robię wystarczająco, więc z łaski swojej nie zaglądajcie mi do łóżka. Nie mam jeszcze żony ani dzieci, więc mogę się bawić. Nikogo nie krzywdzę. Ale fakt, postaram się więcej nie zaistnieć w tabloidach. A teraz do widzenia.

Na pełnym wkurwie wychodzę z sali ojca, czując, jak gniew pulsuje mi w żyłach. Każda nasza rozmowa kończy się w ten sposób – napięciem i niewypowiedzianymi oskarżeniami. Jego wieczne pretensje i brak zrozumienia sprawiają, że mam wrażenie, jakbym walczył z niewidzialnym wrogiem. Kocham brata, nigdy nie chciałbym zająć jego miejsca, prędzej bym stanął na linii strzału, niż zechciał być królem tego pierdolnika. Dobrze mi tak, jak jest. On prowadzi legalną stronę biznesu, a mnie ma od prowadzania tej drugiej części. Niczego więcej nie potrzebuję.

Staję pod wielkim zakazem palenia i wyciągam fajki. Przecho-dzące obok osoby patrzą z naganą, ale żadna nie zwróci mi uwagi, bo w innym razie moja mina obiecuje przegryzienie tętnicy. Zaciągam się papierosem, czując, jak dym wypełnia moje płuca i na chwilę daje złudne poczucie ulgi. Patrzę na otaczający mnie świat przez pryzmat własnego gniewu i frustracji. Po raz kolejny katuję się myślą, co jest ze mną nie tak. Przez lata szukałem powodu, dlaczego jestem gorszym synem. Ba! Nawet zrobiłem test DNA, bo uznałem, że może on nie jest moim ojcem i się mści... Nie, oczywiście, że jest. I wychodzi na to, że po prostu jest kutasem. Matka robiła, co mogła, aby wyrównać tę „miłość”, ale nie wyszło.

Pamiętam, jak starała się z całych sił zapewnić mi ciepło, którego brakowało ze strony ojca. Była dla mnie ostoją, kimś, kto zawsze wierzył w moje możliwości, niezależnie od tego, co mówił ojciec. Jej uśmiech i troskliwe słowa spływały jak balsam na zranioną duszę. Jednak nawet te wysiłki nie były w stanie całkowicie zniwelować poczucia, że jestem mniej wart w oczach ojca.

A później zdarzył się wypadek – cała miłość i uwaga mamy zostały przekierowane na Elizabeth.

Louis ma ojca, Beth mamę.

Ja zostałem sam.

Z poczuciem winy, które zżera mnie za każdym razem, gdy patrzę na bliźniaczkę.

Znów się zaciągam i zaczynam wypuszczać kółka z dymu.

Skończ już to katowanie samego siebie, Elijah. Nic tego nie zmieni. Nie bądź pizdą. Traktuj ojca jak szefa. Weź się za robotę. W tym jesteś najlepszy.

Patrząc na swoje dłonie, które drżą lekko z gniewu i frustracji. Wiem, że muszę wrócić do pracy, do tego, co potrafię robić najlepiej. W końcu to jest moje miejsce w tym całym bałaganie. On może być królem legalnej strony biznesu, ale to ja trzymam w rękach ciemne sekrety i brudne interesy, które są fundamentem imperium.

Gaszę fajkę i ruszam do auta. Parking pod tym szpitalem to jakieś pierdolone nieporozumienie. Trzeba być cyrkowcem lub akrobatą, żeby znaleźć choć skrawek wolnego miejsca, tym bardziej moim Fordem Expedition. Słońce stoi wysoko na niebie, a powietrze jest duszne. Ludzie krążą w poszukiwaniu miejsc do postoju, a ja czuję, jak frustracja – mimo wypalonego papierosa – narasta. Wskakuję do auta, odpalam silnik i zaczynam wyjeżdżać. Czujniki parkowania szaleją w tej mysiej norze, wyjąc za każdym razem jak szalone.

Upewniwszy się, że jest pusto, cofam i staram się nie przyjechać w auto obok. Każdy ruch wymaga precyzji, a ja próbuję zachować spokój, mimo że czuję, jak napięcie rośnie. Wszystko idzie dobrze, aż nagle słyszę tępe uderzenie w blachę od strony bagażnika.

Kłąc pod nosem, wysiadam z auta, gotów zmierzyć się z kolejną falą irytacji. Ale to, co widzę, sprawia, że serce zamiera mi w piersi. Na ziemi leży dziewczyna, jej ciało wygina się w dziwnej, nienaturalnej pozycji. *Ja pierdolę, przecież tam nikogo nie było.*



Rozdział 3

Elijah

Przez chwilę stoję zszokowany w miejscu, nie wiedząc, co robić. Przecież nie przyjechałem w nią aż tak mocno. Potem adrenalina przejmuję kontrolę i podbiegam, po czym klękam obok. Odgarzam włosy z jej twarzy. *Różowe*? Jest blada, a na czole widzę ślad krwi. Moje myśli galopują, a ja staram się ocenić jej stan.

– Hej, słyszysz mnie? – pytam, delikatnie potrząsając ramieniem kobiety.

Chyba zaczyna odzyskiwać przytomność, próbując się jednocześnie podnieść, co od razu wybija mój wkurw poza skalę. Jej próba wstania nie dość, że wygląda pokracznie, to na dodatek jest niebezpieczna i chaotyczna.

– Czy ciebie już do reszty pojechało?! Nie ruszaj się, mogłaś coś sobie zrobić! Oczu nie masz, że włączysz pod auta? Co jest z tobą nie tak? Święta krowa? Nieśmiertelność ci się włączyła? – Łapię ją za barki i przytrzymuję. Momentalnie uderza we mnie jej zapach, jakiś słodki, dawno przeze mnie zapomniany.

Wyciągam telefon jedną ręką, żeby zadzwonić do tego cholernego szpitala, bo nie chcę jej ruszać, kiedy chwyta mnie za nadgarstek.

– Nie dzwoń nigdzie, nic mi nie jest. To moja wina, już sobie idę – mówi, dalej próbując wstać.

– No chyba cię popierdoliło, skarbie – warczę. – Wstaniesz, pójdziesz i umrzesz za rogiem? Mowy nie ma! – odpieram stanowczo, przytrzymując ją delikatnie na ziemi.

Dzwonię po pomoc, tłumaczę sytuację, podaję mniej więcej nasze położenie i jakie jest moje zdziwienie, kiedy po kilkunastu minutach zamiast samych sanitariuszy widzę karetkę. *Serio? Na terenie szpitala?*

– Proszę się odsunąć. Zajmiemy się panią. Czy policja została wezwana?

Zanim zdążę się odezwać, dziewczyna mówi:

– Nic się nie stało. To ja nie uważałam. Pokryję wszelkie szkody.

I tak papla bez sensu. Doskonale wiem, że to moja wina. Nie zauważyłem jej. Ale jak nie chce policji, nie będę się spierał. Niepotrzebny mi kolejny sensacyjny nagłówek w brukowcu. Patrzę, jak ładują ją do karetki i odjeżdżają. Zastanawiam się, czy mam iść i się dowiedzieć, czy wszystko w porządku, ale stwierdzam, że nie ma po co. Wsiadam do auta i w lusterku bocznym widzę torebkę. Damską. Czyli jednak, kurwa, muszę tam wrócić.

Parkuję, ponownie wysiadam i zbieram ten majdan. Telefon nie ucierpiał tak bardzo, jak można było się spodziewać. Ładuję wszystko do, jak się okazało, plecaka i idę do tego przybytku. Czuję, jak złość i frustracja mieszają się z poczuciem winy, kiedy zmierzam w stronę szpitala, trzymając jej „dobytek”.

Co za dzień...

Wchodzę do budynku i kieruję się do recepcji, gdzie wyjaśniam, że mam rzeczy poszkodowanej. Recepcjonistka spogląda na mnie z mieszaną zrozumienia i lekkiego zniecierpliwienia. Telefon w plecaku zaczyna wściekle dzwonić. *Kto ustawia takie dzwonki?* Po trzecim razie zaczynam szukać urządzenia, nie wierząc, że mogło się zgubić w plecaku. Kiedy udaje mi się je wyłowić, odbieram połączenie. Nie zdążam nawet wykrztusić słowa.

– Neli, co się stało? Wszystko w porządku? – dopytuje męski, zaniepokojony głos. – Chyba upadł ci telefon, niezdaro, i przerwało połączenie.

– Halo?

– Kim jesteś? Gdzie Cornelia? Dlaczego masz jej telefon? Gdzie ona jest? – Słyszę zdenerwowany głos.

– Pańska Cornelia, czy jakkolwiek się ona nazywa, weszła mi pod samochód, kiedy wyjeżdżałem z miejsca parkingowego. Została zabrana na badania. A ja zostałem z jej rzeczami...

– Weszła czy jej nie zauważyłeś?! – przerwa ostro, pełnym pretensji tonem. – Nieważne. Czy wszystko z nią w porządku?

– Nie wiem, dopiero wchodzę do szpitala, aby oddać jej rzeczy.

– Już wyjeżdżam.

Rozłącza się.

Dziwny typ.

Wypijam kawę. Przeglądam maile, wykonuję milion telefonów, wydaję dyspozycje, umawiam spotkania. Znowu piję kawę. Ohydna. Mam już wyjść zapalić, kiedy dobiega do mnie:

– Cornelia B. Walters. Potrącona przez samochód, co z nią, gdzie ją znajdę?

Podnoszę głowę jak surykataka.

– Dzień dobry, kim pan jest?

– Keanu B. Walters.

Czy ona musi tak nakurwiać w tę klawiaturę?

– Tak, jest pan upoważniony do informacji. Proszę poczekać pod tymi drzwiami, lekarz do pana wyjdzie.

Facet zmierza w moim kierunku. Porusza się z niebywałą precyzją i pewnością siebie, jakby komórki jego ciała były zaprogramowane do jak największej efektywności. Każdy jego krok jest przemyślany i ograniczony, jakby wyćwiczony. Emanuje spokojem i opanowaniem, co z kolei przeczy panice, która była w jego głosie, gdy wcześniej rozmawialiśmy przez telefon. Oczy ma skupione i pełne determinacji,

a twarz, mimo że przykryta bujnym zarostem, wyraża nieskazitelny spokój, jakby nic na świecie nie mogło go zaskoczyć ani wytrącić z równowagi. Wygląda jak ktoś, kto jest przyzwyczajony do kontrolowania sytuacji i zna swoje miejsce w świecie. Jak pantera. Jest w tym coś znajomego i zarazem niepokojącego.

Mimo całej tej fasady opanowania dostrzegam w jego oczach cień niepokoju. Niezwykle subtelny, niemal niezauważalny, ale dla kogoś, kto spędził tyle czasu na analizowaniu ludzi, widoczny.

Kiedy się zbliża, wstaję.

– To ja odebrałem telefon tej pani.

– Była przytomna?

– Tak. Chciała nawet wstać i iść, mówiąc, że nic jej nie jest, ale moim zdaniem to był szok.

W jego oczach widzę determinację i coś jeszcze – zdenerwowanie. Kiedy uważniej się przyglądam, pod maską spokoju i opanowania rozpoznaję emocje, które tylko czekają, żeby się uwolnić. Ewidentnie ta kobieta znaczy dla niego tak wiele, że jej bezpieczeństwo i zdrowie stanowią priorytet.

– Jak to się stało? – docieka.

– Cofałem i nie zauważyłem, że idzie za moim autem... Musiała wejść w martwe pole.

– Rozmawiała akurat ze mną, kiedy to się stało. Przepraszam, nie przedstawiłem się. Keanu B. Walters. – Wyciąga do mnie dłoń.

Obrączka. Czyli mąż świętej krowy.

– Elijah Williamson. – Podaję mu rękę.

Prostuje się i staje jeszcze bardziej czujny. Wie.

– Wezwalesz policję?

– Nie, ona nie chciała.

Co oni mają z tą policją?

– Dobrze. – Wydaje się, że odetchnął z ulgą. – Dziękuję, że się nią zająłeś. Wiele to dla mnie znaczy. Zostawię ci swój numer telefonu, pokryję koszty szkód, jeżeli jakieś są.

– Nie ma żadnych szkód – zaprzeczam. – Zapomnijmy o tym, ja byłem rozkojarzony, ona, jak mówiłeś, zagadana.

Wyjmuję portfel i podaję mu moją wizytówkę. Bierze ją ze zdziwieniem.

– Zadzwoń lub napisz, co z nią. Wyślij rachunek ze szpitala. Zapłacę. Nie mogę dłużej czekać. Tu są jej rzeczy. Wydaje mi się, że wszystko pozbierałem. – Wciskam mu ten cały majdan i pośpieszenie się żegnam. – Do widzenia.

Kiwa głową, a ja odchodzę.

Nareszcie.

Nienawidzę tego miejsca.

Wyciągam ostatnią fajkę i znowu palę, idąc do auta. W tym chaosie, który teraz panuje w mojej głowie, papieros wydaje się jedynym, co może mnie uspokoić. Z każdym machem nerwy stopniowo opadają, a nikotyna wypełnia moje płuca, przynosząc chwilową ulgę.

– Bracie, co ty tu jeszcze robisz? – Louis przerywa moje myśli.

– Idę, kurwa, nie widzisz? – odpowiadam, nie kryjąc irytacji.

– Bądź poważny. – Jego ton jest stanowczy, jakby chciał mnie zmusić do refleksji.

– Poważnie to przejechałem łaskę na parkingu – odpieram z gorzkim śmiechem i zaciągam się dymem.

– Że co, kurwa, zrobiłeś? – W jego głosie słychać zaskoczenie i niedowierzanie.

– Potrąciłem łaskę, jak wyjeżdżałem z miejsca parkingowego. Lepiej? – mówię, czując, jak wściekłość powraca.

– Żyje? – pyta z nutą troski.

– Żyje. Badają ją. Nic więcej nie wiem. Jej mąż może mnie poinformuje, co z nią. – Wyrzucam niedopałek i miażdżę go butem.

– Aż dziw, że ty żyjesz – rzuca, patrząc na mnie z mieszaniną powagi i niepokoju.

– Czemu? – Nie do końca rozumiem jego słowa.

– Jakby ktoś potrafił moją żonę, to sam bym go zutylizował – dodaje z groźbą w głosie, a ja wiem, że mówi to całkiem poważnie.

– Serio? Przecież ty jej nawet nie kochasz – odpowiadam z niedowierzaniem.

Mam świadomość, jak wygląda ich małżeństwo. Stanowi raczej transakcję niż związek oparty na miłości. Inaczej. Dla niego to transakcja. Ona zainwestowała też uczucia.

– Ale jest moją żoną. Szanuję ją i dbam o nią. Dobra, spadam. Do jutra – rzuca, odwracając się na pięcie, i odchodzi.

Patrzę, jak jego sylwetka powoli znika w oddali. Nigdy tego nie zrozumie. Nie potrafiłbym żyć z kimś z przymusu lub żeby zadowolili ojca. *Mówilem, adoptowany*. Te słowa zawsze brzmią jak wymówka, jakby miały usprawiedliwić moje poczucie wyobcowania. Ale prawda jest taka, że zawsze czułem się inny, jakbym nie pasował do tego świata, który oni wszyscy z takim zaangażowaniem budują.

Wsiadam do auta, czując, jak wzbiera we mnie mieszanina frustracji i ulgi. Silnik ryczy, a ja włączam głośną muzykę, próbując zagłuszyć myśli. Jadę przez miasto, mijając ludzi, którzy nie mają pojęcia, jakie demony noszą w sobie. Moje życie jest skomplikowane, pełne sprzeczności i konfliktów, ale to właśnie one definiują, kim się stałem.

Docieram do naszego biura, miejsca, które jest dla mnie jednocześnie schronieniem i polem bitwy. Wchodzę do środka, a atmosfera pracy wciąga mnie w wir obowiązków. Ludzie kręcą się wokół, każdy zajęty swoim zadaniem, a ja wiem, że tu jestem w swoim żywiole.

Pracuję nieprzerwanie, dopóki do mojego gabinetu nie wbija się Zack, jedyna osoba, która może tu wejść bez pukania i nie straci przez to życia.

– Cześć pracy! – W przeciwieństwie do mnie jest wiecznie wy-luzowany i zadowolony.

Zack pada na kanapę ustawioną wzdłuż ściany i z nieskrywaną ulgą zarzuca ciężkie wojskowe buty na niski stolik kawowy. Moje oczy zatrzymują się na tym symbolicznym elemencie świadczącym

o jego militarnej przeszłości, jedynym, którego nie pozbył się po odejściu z armii.

Znam Zacka, od kiedy pamiętam, jesteście nierozłączni od dziecka. Jednak mężczyzna, który wrócił z ostatniej misji, wydaje się kimś zupełnie innym. Nigdy nie podzielił się ze mną szczegółami swoich doświadczeń, zamiast tego zatracił się w ciągłym imprezowaniu i dupczeniu wszystkiego, co się nawinęło. Nieustanne poszukiwanie nowych doznań stało się dla niego sposobem na zapomnienie lub chwilowe ukojenie.

Mimo swojego hedonistycznego trybu życia Zack jest niezawodny w pracy, którą wykonuje. Jako szef ochrony wykorzystuje swój naturalny talent do zarządzania zespołem i zawsze z należytą wywiązuje się z powierzonych zadań. Jego zdolność do utrzymywania porządku i zapewnienia bezpieczeństwa zadziwia, gdy weźmie się pod uwagę jego chaotyczne życie prywatne. Kontrast pomiędzy jego profesjonalizmem a osobistymi demonami jest dla mnie, jako jego długoletniego przyjaciela, zarówno źródłem podziwu, jak i głębokiego zaniepokojenia.

– Nie masz jakiegoś garnituru? Chyba płacę całkiem nieźle. – Nie mogę się opanować, żeby nie dojebać się do trepów, bojówek i, kurwa, eleganckiej koszuli. Tak! Koszula do bojówek.

– Jestem twoim szefem ochrony, a nie dyrektorem chuj wie czego. Jak wyobrażasz sobie szkolenie ludzi w oxfordach? – Patrzy na mnie jak na kretyna. – Co cię w dupę ugryzło? Ojciec znowu wywinął się spod kosy?

Nigdy nie daję upustu swoim myślom i nie wypowiadam ich na głos. W przeciwieństwie do mnie Zack nie ma problemów z wyrażaniem tego, co czuje i myśli. Ta bezpośredniość stanowi jedną z cech, które niezmiennie w nim cenię. W środowiskach, w których się obracamy, gdzie każdy ruch i każde słowo mogą być wykorzystane przeciwko tobie, prawdziwa przyjaźń jest rzadkością, prawie jak Święty Graal.

– Żyje. I z pewnością wykończy i przeżyje nas wszystkich – mówię, biorąc paczkę papierosów i kierując się w stronę okna.

Widok z mojego gabinetu nie może się równać z panoramą z biura Louisa, ale i tak wolę spoglądać na zielone krzaki niż na betonową dżunglę miasta. Słyszę, jak ciężkie ciało mojego przyjaciela unosi się z kanapy i Zack dołącza do mnie. W milczeniu celebруем nałóg, każdy z papierosem w dłoni.

– Pod szpitalem, na parkingu potrąciłem dzisiaj jakąś babę – rzucam bombę, czekając na jego reakcję.

– Żyje? – pyta zupełnie niewzruszony.

Jego obojętność mnie zaskakuje.

– Taaa – odpowiadam. Głębiej zaciągam się dymem. – Czekam na jakieś informacje, ale raczej nic jej nie jest.

– Nie potrzebujemy teraz trupa, dopiero co twoja twarz pojawiła się w każdej gazecie – mówi z urazą, przypominając mi to, co ojciec zdążył mi już wyłożyć z akademicką precyzją.

– Ale ty się teraz wkurzasz o to, że przeoczyłeś tę imprezę, czy o to, że nie uchroniłeś mojej dupy przed kompromitacją? – pytam z uśmiechem, a widząc jego wyraz twarzy, jestem pewien, że morduje mnie w myślach na tysiąc sposobów.

Prawda jest taka, że trochę mnie poniosło, a gdybym zabrał go ze sobą, ten cały cyrk by się nie wydarzył. Nauczka na przyszłość – bawić się tylko w naszych klubach i ciągać ze sobą przyzwoitkę.